

Nie są to wspomnienia w pełnym tego słowa znaczeniu. Są to obrazki - migawki z sześcioletniego pobytu w Kazachstanie i Uzbeki-
stanie, które utkwiły w pamięci dziecka (8 lat) wywiezionego z
matką i siostrą (10 lat) do Związku Radzieckiego.

Wrażliwość dzieci jest inna niż dorosłych, na pewno większa. Przeżycia, zwłaszcza tragiczne, zostawiają ślad często na całe życie. Jednocześnie dzieci nie są w stanie pojąć grozy sytuacji. Pokolenie ludzi, zbliżających się obecnie do sześćdziesiątki, było dziećmi, gdy wybuchła II wojna światowa. Jest to pokolenie, które w brutalny sposób zostało pozbawione dzieciństwa. Przeżycia, poczynając od 1939 roku uczyniły z ówczesnych ósmio- i dziesięciolat-
ków dorosłych niemal ludzi. Dorosłych, lecz jednocześnie nie w pełni zdających sobie sprawę z tego, co się wydarzyło i co ich czeka.

Na tragiczne wydarzenia lat 1939-1940, dzieci te patrzyły oczami dorosłych. Ból ich rodziców, przede wszystkim matek, gdyż ojcowie w większości udali się na wojnę, stał się ich bólem, ich cierpieniem...

Rozstania... dzieci przeżywają najmocniej.

Także ja miałam 8 lat, gdy przeżywałam rozstanie z ojcem... wyjeżdżał na wojnę, płakał i myśmy płakali... Słowo wojna mało mi mówiło, choć była w tym słowie groza, spotęgowana widokiem płaczącego ojca i jego słowami: Tylko broń Boże nie ruszajcie się stąd pod bomby. Tutaj będziecie bezpieczni jak u Pana Boga za piecem... Mieszkaliśmy wtedy na Kresach, w Czortkowie, z dala od granicy polsko-niemieckiej... 22 stycznia 1940 roku drugie rozstanie z bratem... Gdy zabierało go w nocy NKWD, był uczniem I klasy gimnazjalnej. Wreszcie trzecie rozstanie: z krajem, ojczyzną. 13 kwietnia 1940 roku. Wszystkie te rozstania, których powodu nie mogłam

pojąć, utkwiły mi w pamięci jako płacz i rozpacz matki, która była i moją rozpaczą. Najstraszniejsze dla nas: siostry i mnie, było to, że NKWD, które przyszło po nas w nocy, zabrało zemdloną matkę do szpitala, a nam, dzieciom, kazano się pakować... Po co, gdzie, dlaczego? "Pojedziecie k papie" - to zrozumiałam i zaczęłam wyciągać swoje lalki... Jak to, bez mamy mamy jechać? Matkę przywieszono nad ranem. Wsadzono nas na furmankę. Zawieziono nas na dworzec. Było tam tysiące ludzi, także z dziećmi, i stały towarowe, bydłowe wagony, w których nas potem zaplombowano.

Rozpoczęły się nasze etapy...

Pierwszy etap, to miejscowość, w której panowała jeszcze zima, choć był to już maj. Z ciekawością patrzyłam na ludzi, którzy wylegli oglądać nas. Nie wiedziałyśmy, że był to Kazachstan. Miejscowość, do której zsyłano także obywatele radzieckich, nazywała się Pieszczanka. Hodowano tam świnie i prosiaki. Powiedziano nam: tu będziecie żyć i pracować. Do swego kraju już nie wrócicie.. Nikt w to nie uwierzył... Tamtejsi ludzie wydali się nam bardzo biedni i zastraszeni. Nic nie mówili, trzymali tylko palce na ustach.

Potem zakwitł step. Piękny, mieniący się wszystkimi kolorami tęczy. Na tym stepie dzieci pasły prosiaki. (Przypomniałam sobie słowa ojca: kto z was się nie będzie chciał uczyć, będzie pasł świnie... i ogarniał mnie bunt). Matki pracowały przy karmieniu i oporządzaniu świń. Prosiaki były naszym zbawieniem... mogliśmy po kryjomu jeść to co one i dzięki temu przeżyć...

Najstraszniejsze były jednak noce. Miliony pluskiew zjadało nas żywcem. Noce w barakach, w których każdy miał dla siebie po dwie deski na koi, spędzałyśmy na siedząco. Bez światła widać było pełzające czarne robactwo... Brr... to było straszne. Tego

nie można zapomnieć. Tak samo jak przymarzających w zimie do koi rąk, nóg i włosów... 50° C mrozu, barak prawie nie opalany (potem dopiero kradło się deski i kiziak na opał).

Amnestię dla Polaków ogłoszono w czerwcu 1941 roku... "Mamo, wracamy do Polski?!" Matka patrzyła na nas z cierpieniem w oczach. Chyba tak samo jak my nie zdawała sobie sprawy, że do Polski przeszło 7 tys. kilometrów...

Jedziemy statkiem przez Irtysz. Zmierzamy do drugiego etapu. Nie wiem, skąd matka wzięła pieniądze na bilety, a może jedziemy na gapę? Etap ten to Semipałatyńsk. Nie pamiętam, z czego tam żyliśmy, chleba też nie było. Wojna, wygnanie - te słowa kojarzyły mi się z głodem... Matka stale powtarzała: musicie się uczyć, obojętnie w jakiej szkole. Ale jak? W czym? Byliśmy nagie i bose. To, w czym przyjechaliśmy, pospadało z nas, wyrosliśmy ze wszystkiego.

Ludmiła Pislagina, nasza rówieśnica, chodziła do trzeciej klasy. Mieszkała z matką. Ojciec jej walczył na wojnie. Były biedne, tak jak inni tamtejsi ludzie, ale pomagały nam. Spotkałyśmy się tam z dużą dobrocią, serdecznością.

Anders tworzył polską armię. Do Semipałatyńska nadciągali ludzie wypuszczeni z tamtejszych łagrów. Szkielety ludzkie, okryte łachmanami, pokryci wrzodami..., ale pełni nadziei. Mówili: utworzymy polskie wojsko, będziemy walczyć... Trudno nam było to zrozumieć! Przecież ci ludzie ledwo trzymają się na nogach! Jednocześnie i w nas wstąpiła nadzieja. Wyjadą na Zachód (ci przyszli żołnierze) i zabiorą rodziny, a wszyscy znajdujący się tam Polacy to rodzina... Zaczęto tworzyć hufce junaków. Dzieci mogły wyjechać z polskim wojskiem... Jak to? Tak bez matki? Zostawić ją na pastwę losu? Nigdy! Mama zdecydowała: "Dzieci, jedziemy na południe. Może uda nam się przedostać z wojskiem za granicę". Łatwo powiedzieć, ale

jak jechać! Za co? Poza tym pociągi wozą tylko wojsko, jeżdżą jedynie tzw. eszelony...

Na stacji w Semipałatyńsku koczujemy już tydzień. Trzaskający mróz. Żaden pociąg nie zatrzymuje się. Nieomal zamarzamy. Wreszcie cudem dostajemy się do jakiegoś pociągu, jadącego na południe. Dokąd - dokładnie nie wiadomo...

Na stacji w Ałma-Acie pogubiłyśmy się. Krzyk, płacz, harmider. Skąd tu tyle Cyganów? To oni robią taki rejwach. Czy daleko do Aszchabadu? Tam granica z Persją, dokąd wyjeżdża, zabierając rodziny (cywilów), wojsko polskie tworzone przez Andersa. Z powodu Cyganów nie możemy się dostać w Ałma-Acie do pociągu. Są z nami inni też Polacy. Jesteśmy wreszcie w wagonie, ale okazuje się, że nie w komplecie. Siostra i córka drugiej rodziny polskiej zostały na stacji. Pociąg ruszył. Wsiadamy na najbliższym postoju w Taszkencie. Telefon do Ałma-Aty. Okazuje się, że jadą - siostra i druga dziewczynka - następnym pociągiem razem z marynarzami. Czekamy długo... Są! Co za szczęście, że odnalazłyśmy się! Nie przejmujemy się nawet tym, że - jak nam powiedziano - zamknięto dziś dla Polaków granicę w Aszchabadzie. Nie mamy po co jechać dalej. Musimy tu zostać. Jest to nasz trzeci etap...

— • —

Mała, dwu i pół-letnia Glistan zanosí się od płaczu. Karima, młoda Tatarka, matka Glistan, bije ją niemilosierdzie i krzyczy po rosyjsku, abyśmy zrozumiały (na co dzień mówi po uzbecku czy tatarsku - dla nas te gardłowe głoski są jednakowo niezrozumiałe): "Módl się do batiuszki Stalina! Niech ci da jeść, niech ci da sukienkę, buty!... Twój tata krasnoarmiejec..."

walczy na froncie... Módl się, niech Stalin da ci wszystko...".

Nasza mama stara się wyrwać z rąk rozszalałej Karimy wrzeszczące nieszczęsne dziecko, które nie może wiedzieć, że jego matka wylewa w ten sposób na nie bezsilną złość, bo nie może zaspokoić ich podstawowych potrzeb... Karima cały dzień robi na drutach szale z wielbłądziej wełny. Dla kogo je robi? Kto będzie je nosił w tym upale? Co z tego ma? Nie wiemy. Karima nie rozmawia z nami na te tematy ani na żadne inne. Czasami rozmawia ze swoimi ich językiem. Jedynie w napadzie rozżalenia, zdenerwowana na pograniczu szału, łapie za kark jak szczeniaka swoją małą córeczkę, rzuca przed portretem Stalina, bije ją i krzyczy po rosyjsku... "Karima, zabijesz własne dziecko" - woła z płaczem nasza mama...

Jedzą raz dziennie, wieczorem tzw. lepszą, czyli kluski na wodzie gotowane na palenisku przed lepianką (w lepiankach nie ma pieców do gotowania). Karima, robiąc na drutach, żuje przez cały czas siarę (czy po to, aby zagłuszyć głód, czy też przeżuwa w ten sposób swoje cierpienie, ciężkie życie, swoją beznadziejną sytuację?), nie interesując się małą córeczką aż do wieczora, kiedy to obie zjadają swój pierwszy posiłek...

Karima jest przystojną blondyną. Jej córeczka, Glistan, ma czarne włoski, skośne, czarne oczy. Domyślamy się, że tata małej Glistan musi być Kirgizem albo Uzbekiem. Czy żyje? Czy wróci do nich?

— • —

Turkiestan - obszar między Samarkandą a Taszkentem - w Uzbekistanie zamieszkują różne narodowości. Przeważnie Uzbeki, ale dużo jest też Tadżyków, Kirgizów, Tatarów, Arkmenów, Ormian oraz Żydów bucharskich, którzy odznaczają się wyjątkową urodą,

zwłaszcza kobiety, a także Rosjan - zesłanych tu lub ewakuowanych na czas wojny. Później będziemy świadkami przywożonych tu masowo - tak samo jak Polacy w towarowych, zaplombowanych wagonach - Czezeńców (Tatarów krymskich) zsyłanych podobno za kolaborację z Niemcami. Obchodzono się z nimi gorzej niż z nami, Polakami. Widzieliśmy, jak wyrzucano na stacji z wagonów, dorosłych i dzieci, wśród których wiele osób już nie żyło, a ci żywi ledwo trzymali się na nogach. Widocznie w ogóle nie dawano im jeść w czasie transportu, gdyż rzucali się na źdźbła wyschłej od słońca trawy i jedli je.

Uzbekistan - nasz trzeci i ostatni etap. Sytuacja nasza polepszyła się nieco. Dla Polaków w Związku Radzieckim zaczęły nadchodzić dary z UNRRA. Odzież i żywność. Rozdzielane były przez tworzone tam polskie placówki. Zorganizowano też polskie szkoły z tzw. internatami, w których polskie dzieci mogły uczyć się, mieszkać i jeść.

W Turkiestanie wszyscy mieszkali w lepiankach, tj. barakach z gliny zmieszanej z nawozem wielbłądzim, aby nie rozsypały się w upale przekraczającym 50° C. Myśmy mieszkały w jednej lepiance z Karimą i jej córeczką (nie chciałyśmy - ja i siostra - mieszkać w internacie i zostawić matkę samą). Miałyśmy tam jedno posłanie z desek. Karima spała z dzieckiem na żelaznym łóżku, nad którym wisiał wielki portret Stalina (do tego to portretu Karima kazała się "modlić" małej Glistan). Były to jedyne "meble". Tak naprawdę w lepiance i tak nikt nie spał. Nagrzana w ciągu dnia słońcem w nocy zamieniała się w piekarnik. Wszyscy spali na dworze, choć i noce były upalne. Do tego wieczorem pojawiały się moskity nie- miłosiernie żądłące. Bez moskitiery nie można było spać. Toteż

rano wstawaliśmy niewyspane i tak popuchnięte od ukłuć tych niewidocznych gołym okiem stworzonek, że długo nie mogliśmy patrzeć na oczy.

Chodziłyśmy jednak do szkoły, uczyłyśmy się - po polsku, choć z rosyjskich podręczników. Nie byłyśmy już tak okropnie głodne (choć chleba wciąż brakowało). Przynosiłyśmy z internatu należne nam porcje jedzenia do domu, do lepianki. Były to przeważnie zupki z kaszy mannej lub soi. Mała Glistan czekała zawsze na swoją porcję, siedząc na podłodze z miseczką na kolanach... Wiedziała, że też dostanie...

Matka pracowała w zakładzie szyjącym mundury dla wojska. Zarabiała 100 rubli miesięcznie. Za te pieniądze można było kupić bochenek chleba na bazarze. Na kartki nigdy go nie było. W końcu nabawiła się kurzej ślepoty...

W czasie wakacji dzieci polskie pracowały. Kto nie pracuje... ten nie otrzymuje kartek na chleb..., ale chleba i tak nie było. Pracowałyśmy przy zbiorze bawełny i nasion kauczuku, przy plewieniu zboża i jego zbiorze oraz... występowałyśmy w charakterze strachów na wróble!

Była to dla nas już starszych dzieci, wielka, prawdziwa szkoła życia. Nauczyłyśmy się pracować, dobrze, solidnie - byłyśmy ambitne, ale także... oszukiwać, niestety. Inaczej nigdy nie wykonałybyśmy nakazanej normy. Wszyscy, zatrudnieni tam pracownicy oszukiwali. Od nich żeśmy się tego nauczyli. Dzienna norma przy zbieraniu bawełny wynosiła 10 kilo. Zbierało się ją w najgorszy upał, w samo południe. Nawet dla nas, dzieci, uwijających się dosłownie jak w ukropie po rozległym polu z krzakami bawełny, było to nieosiągalne. Mimo najlepszych chęci...

Olbrzymi stóg bawełny stał na środku pola. Kto i kiedy tyle nazbierał? Pracownice snuły się z workami po polu, skubały od niechcienia wychylającą się z kielichów krzewów watę, cały czas pokrzykując do siebie... Z workami napełnionymi do połowy (były to duże worki) ustawiały się w kolejce do wagi. Po zważeniu worka, zamiast wysypać zawartość na stóg, tak jak myśmy to robiły, ustawiały się ponownie z tym samym workiem w kolejce... Tym sposobem ważąc zawartość jednego worka kilkakrotnie, miały wykonaną normę.

Zbieranie nasion kauczuku odbywało się podobnie. Nasiona kauczuku to puch osadzony w kielichach krzewów, rozwijających się w samo południe. W ciągu południa trzeba było nazbierać 1 kilogram tego puchu, gdy tymczasem pełen spory worek ważył... 20 deka. Musiałyśmy więc podpatrzeć, jakim sposobem pracownice wykonują dzienną normę. Sposób okazał się prosty: zamiast wybierać puch z kielichów, zrywały całe kielichy, a także pączki, i dzięki temu ciężar się zwiększał...

Żniwa. Przy żęciu (sierpem) zboża pracownice nie oszukiwały. Po prostu nie przejmowały się pracą. Prawie cały czas siedziały i rozmawiały, od czasu do czasu wykonując tylko parę ruchów sierpem, podczas gdy my, niedorostki, byłyśmy już daleko w polu. Żęłyśmy ambitnie całe zagony, mimo że sierp miałyśmy pierwszy raz w życiu w rękach i niemilosiernie żeśmy się kaleczyły...

Pełłyśmy też chwasty na polu. Było to przykre zajęcie, gdyż pracę wykonywało się zwykłym nożem i na rękach zaraz robiły się pęcherze i rany.

Najprzyjemniejszym zajęciem było występowanie w charakterze strachów na ptactwo (wróble?). Dostawałyśmy duże białe płachty

przymocowane do kija i drewniane terkotki. Trzeba było biegać po polu, wymachując płachtą i jednocześnie terkotać. Byłoby to ogromnie uciążliwe, gdyby nie to, że już się wiele nauczyliśmy. Z płacht robiłyśmy sobie schronienie - budki przed palącym słońcem i rozstawiałyśmy te budki co parę zagonów od jednego krańca pola do drugiego. Gdy na którymś krańcu pola jedna z nas zobaczyła zbliżającego się brygadzystę na osiołku, wyskakiwała z budki i terkocząc wykrzykiwała imię następnej... Na ten sygnał wszystkie żeśmy się podrywały i zaczynałyśmy wymachiwać płachtami, terkotać i krzyczeć... Brygadzysta pokazywał się na ogół raz dziennie, co prawda o różnych porach, ale z naszej pracy był zadowolony...



Była tam w Turkiestanie, młoda kobieta, Rosjanka, Jelena, z dwojgiem małych dzieci i matką staruszką. Pracowała jako sprzątaczką ("uborszczycą"). Spotykałyśmy ją z dziećmi często. Opowiadała nam, że mieszkała z mężem - inżynierem na terenie należącym przedtem do Chin, w Mandżurii. Po zajęciu tego terytorium przez Związek Radziecki nakłoniono jej męża, aby przeniósł się do pracy do środkowej części Związku Radzieckiego. Po paru miesiącach, gdy mieszkali już w RFSRR, NKWD zabrało w nocy jej męża, ich zaś, tj. Jelenę z dziećmi i matką, wkrótce przesiedlono właśnie tu do Uzbekistanu. Co się stało z mężem, nie wiedziała. Nie umiała także wytłumaczyć dzieciom braku ojca. Były za małe, aby zrozumiały prawdę. Ona sama nie mogła pojąć, za co spotkał ich taki los, dlaczego rozbito rodzinę... Rozpaczała, gdyż za te marne grosze, jakie zarabiała, nie była w stanie utrzymać rodziny; dzieci były niedożywione, blade, zabiedzone... Rodzina ta była w gorszej sytuacji niż my... Myśmy żyły nadzieją... Im i to

odebrano...



Krzywdą wyrządzoną dzieciom jest największą krzywdą, jest zbrodnią. Nawet małe dziecko to człowiek myślący, rozumujący, dostrzegający dobro i zło, umiejący odróżnić piękno i brzydotę. I nas fascynowało piękno, egzotyka. Kto nie widział kwitnącego stepu, ten nie może wyobrazić sobie jego piękna. Tej feerii barw! Tych kwiatów o przeróżnych kształtach i barwach, mieniących się wszelkimi kolorami tęczy. Tego cudu natury! W Uzbekistanie step kwitł krótko. Bardzo szybko wypalało go bezlitosne słońce. Ale póki kwitł, zachwycał aż do bólu, zwłaszcza nas zesłańców. Patrzyliśmy na ten bajkowy obraz jak na fatamorganę, nie wierząc własnym oczom, a jednocześnie właśnie wtedy odczuwając palącą tęsknotę za krajem. Dlaczego w czasie kwitnącego stepu ogarniała nas ta fala tęsknoty? Chyba dlatego, że jego piękno przypominało nam nasze piękne, niespełnione, tak brutalnie przerwane dzieciństwo i tak kontrastowało z obecnym naszym życiem. Step przyciągał jak magnes. Mimo że patrząc na niego odczuwałyśmy przenikający całe wnętrze ból, szarpiące cierpienie, niezrozumiałą mękę duchową... To była nostalgia... Tylko ona mogła powodować taki ból, niewytłumaczalną, nie do opisanego męczarnię - świadomość oddalenia od kraju...

Nie tylko step zachwycał i wywoływał uczucie cierpienia - oddalenia, lecz cały krajobraz, jakże inny od tego, w którym upłynęło nasze krótkie dzieciństwo. Pustynne piaski, upały, przed którymi nie można się było nigdzie schronić, ani jednego drzewa, ani kropli deszczu... Dokoła postacie ludzi - jak z bajki o Ali-Babie i czterdziestu rozbójnikach - w białych i

kolorowych sz^{ay}tach, jeżdżące na osiołkach i wielbłądach, młode kobiety i małe dziewczynki z mnóstwem zaplecionych, czarnych cienutkich warkoczyków; mężczyźni w białych chałatach, przypominających prześcieradła, i futrzanych czapkach na głowach jako ochrona przed palącym słońcem; osiołki objuczone przeważnie dżusanem (wyschlą roślinnością stepową, używaną jako opał do gotowania); pokładające się na piasku wielbłądy; różnokolorowy tłum na bazarze, gdzie sprzedawano wspaniałe pachnące arbuzy i melony o różnych, niespotykanych gdzie indziej smakach; te same postacie padające o zachodzie słońca na twarze, dziwnie zawodzące i wołające Allacha... Wszystko to dla nas przybyszów jakby z innego świata było nierealne, bajkowo piękne, ale... uświadamiające nam przepaść dzielącą nas od kraju... Dlatego zachwycało i bolało...



Jak można jeść rękami? Takie pytanie zadałoby każde dziecko uczone od najmłodszych lat posługiwania się sztućcami. A do tego jeść brudnymi rękami! W uszach wszystkich chyba dzieci brzmią słowa: umyj ręce...

W Uzbekistanie wszyscy jedli rękami, i to brudnymi, wręcz czarnymi od brudu. Chyba nigdy się nie myli, bo na twarzach też mieli zaskorupiały brud... Dlatego nie wiedziałyśmy jak się zachować, gdy ci skądinąd szczerzy i gościnni ludzie zapraszali nas do wspólnego z nimi posiłku. Było sporo takich, którym lepiej powodziło się niż Karimie... piekli oni placki (lepioszki) w piecach z gliny na dworze. Zdarzało się, ale rzadko, że dawano nam łyżkę. Ale i tak trzeba było jeść ze wspólnej misy, stojącej na środku podłogi, napełnionej kumysem, w którym pływały kawałki placków, wyjmowane przez nich rękami... Odmowę poczęstunku traktowali jak

największą obrazę. To byli dobrzy, życzliwi ludzie, którym nie chcieliśmy sprawiać przykrości, a placki bardzo nas nęciły... mimo to poczęstunek nie chciał nam przejść przez gardło...

— • —

Czy tylko to utkwiło w pamięci? Ależ nie! Cały pobyt był straszny! Zabrał nam dzieciństwo, pozbawił tego, co ma wpływ na całe dorosłe życie: beztroskiego uśmiechu, prawdziwej radości, opromieniającej wszystkie wspomnienia...

Pamięć przywołuje inne obrazy: poniewierkę i głód - łaknienie chleba; tyfus i dyzenterię, od których ludzie padali jak muchy; trzaskające mrozy i burze śnieżne, w czasie których nie można było znaleźć drogi; oprócz pluskiew i moskitów - wszy, których nie można było się ustrzec; praca ponad siły dzieci... Warunki, na które nikt, nawet matka, nie mógł poradzić. Uczucie beznadziejności, smutku, nostalgii... A przy tym odrzucanie tego wszystkiego przez młody organizm jak nie do przyjęcia przeszczep. Cierpienie nas, dzieci, potęgowane było cierpieniem naszej matki... To ona bowiem dźwigała cały ciężar naszej niedoli, to ona starała się jak mogła ulżyć nam, to ona wszczepiała nam wiarę, że przetrwamy, że wrócimy do kraju... nawet wtedy, gdy szyjąc po nocach mundury dla wojska prawie oślepała... Ona nauczyła nas kochać tamtych ludzi. Mówiła nam: "Stokroć biedniejsi od nas są oni, tutejsi ludzie, oni to skazani są na życie na tej nieludzkiej ziemi... My przetrwamy, wrócimy, a oni tu zostaną... Nieszczęśni ludzie...".

Eulalia Chomyszka
ul. Melodowska 15 m. 19
02-127 Warszawa